

Portret "Dama ze szczurem" - z Barbarą Sieniacką-Kalmus rozmawia Marta Lelek

Portret: „Dama ze szczurem” - z Barbarą Sienicką-Kalmus rozmawia Marta Lelek

Marta Lelek: Zamieniłaś wygodne życie miejskie na wiejską harówkę. Co na to twoje dzieci?

Barbara Sienicka-Kalmus: Przeprowadzając się tu zapytałam je, czy chcą mieszkać razem ze mną, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, nieco dalej od cywilizacji, za to z tymi wszystkimi czaplami, kaczkami, łabądkami, sarenkami, końmi, psami, kotami i szczurami. Przyjechały, zobaczyły, złapały się za głowę widząc ilość roboty, jaka je czeka i ... powiedziały, że chcą. Ja musiałam się wywiązać z umowy co do psów, kotów i koni. Zgodziłam się nawet na szczury domowe.

Czy po dwóch latach nie żałują tego?

B. S.-K.: Chyba nie, wystarczy porównać kilka aspektów ich życia tutaj i życia w mieście. W mieście, a nawet lepiej, bo na peryferiach miasta, w dzielnicy tzw. willowej mieliśmy fajną szkołę, do której było 400 m. Niestety, dzieci nie mogły chodzić do szkoły same, bo musiałyby przejść przez ruchliwą jezdnię. Z tego samego powodu dzieci nie chodziły na rower, ani na wrotki. Tutaj do szkoły są 3 kilometry i to pod górę. Ale tutaj mogą bezpiecznie jechać na rowerze, mogą też chodzić na piechotę i wracać do domu przez las. Widok dziecka wracającego godzinę ze szkoły przez las to widok wspaniały. Uśmiechnięta, zaaferowana wszystkim tym, co się w lesie wydarzyło buzia. Mnóstwo opowiadań o spotkanych zwierzętach, o dziwnych cieniach, o nieznanym, napotkanym motyłu, czasem jakies znalezione skarby typu: gałąź, grzyb, bukietek: kwiatków. To są bezcenne doświadczenia. W szkole są identyfikowane ze swoim imieniem i nazwiskiem, z moją osobą, ze swoim domem. Nie są przykładowym numerem 17 w dzienniku. Wyrastają w poczuciu własnej tożsamości, o którą nie muszą walczyć. W mieście, zwłaszcza na osiedlu, żeby się wyróżnić spośród grupy kilkudziesięciu 8-latków, musiałyby np. podłożyć nogę staruszce, albo dyrektorowi szkoły wybić szybę w oknie, takie ekscesy zostałyby zauważone. Uważam, że nie jest możliwe w takich warunkach zaznaczenie swojej tożsamości w sposób normalny, będąc zwyczajnie sobą.

Inny aspekt: kiedy mieszkaliśmy na osiedlu, dzieci miały mnóstwo rówieśników, ale ja bałam się, że z podwórka nie trafią z powrotem do domu. W dzielnicy willowej, w której mieszkaliśmy potem, nie było tego problemu, ale nie było się z kim, ani gdzie bawić. Okoliczni równolatkowie siedzieli samotni, każdy w swoim ogrodzie, w którym właściwie nie mogli ani kopać w piłkę, bo mogły zniszczyć się rośliny, ani palić ognia, ani kopać dziur, ani usypywać z piasku, czy ziemi kopców. Nie wolno się było ani brudzić, ani hałasować. Natomiast tu wszystko to wolno. Wolno chodzić po drzewach, budować na nich domki, zaczepiać liny. Na rowerze można ćwiczyć jazdę terenową. Nie grozi dzieciom żadna banda, która zabierze rower, albo pieniądze, bo każdy tutaj ma imię i nazwisko i wiadomo, gdzie mieszka. Generalnie brakuje im dnia i nie usłyszałam ani razu, żeby jakies dziecko powiedziało, że się nudzi. Które dziecko w mieście ma swoją własną salę gimnastyczną w postaci wielkiej stodoły pełnej siana?

A jakim dzieckiem byłaś ty?

B. S.-K.: Zamiast iść z rówieśnikami na papierocha wolałam się włóczyć po lesie. Urodziłam się i mieszkałam na skraju miasta, dzisiaj to już jego środek. Ale wtedy za domem były pola, a dalej las.

Uwielbiałam sporty związane bezpośrednio z przyrodą, nie znosiłam boiska. Moje pierwsze narty wyglądały całkiem inaczej niż te, na których jeździ się dzisiaj. Inaczej też wyglądało całe narciarstwo. Trzeba było narty wnieść na własnym grzbiecie wysoko w góry, mknęło się na nich dużo wolniej i krócej, najwięcej się sapało. Potem zakochałam się w Tatrach, a jeszcze potem w koniach, ale również w niebie, bo w lataniu na szybowcach też się w końcu zakochałam. Sport, to była moja szkoła życia. Każda dyscyplina i kontekst, w którym się ją uprawiało miały swój wkład do mojej filozofii.

Co to za filozofia?

B. S.-K.: Nic odkrywczego, już starożytni uważali, że człowiek powinien doświadczać różnych okresów w swoim życiu. Powinien mieć czas bycia uczniem, wojownikiem, mędrcom, filozofem, ojcem itd. Jeżeli któregoś z tych podstawowych okresów życia, czy też jego aspektów brakuje, to człowiek ten jest niepełny.

Człowiek nie jest samą głową, którą się sadza przed komputerem i każe się jej pracować. On ma jeszcze ręce, nogi, ma płuca, ma uczucia, nie można mu skasować tych rzeczy. Specjalizacja, choćby posunięta do super osiągnięć, rekordów itd., jest kalectwem. Dlatego jako nauczyciel wychowania fizycznego nie zajmę się nigdy sportem wyczynowym, bo to moim zdaniem byłoby okaleczanie dzieci: „Nie idź się bawić, bo masz trening; nie jedź tego, bo ci zaszkodzi; zjedz procha, ale tak, by nikt nie widział; nie zaprzyjaźniaj się z żadną dziewczyną, bo ci zawróci w głowie, będzie ci to przeszkadzało w karierze sportowej, biznesowej, czy każdej innej. Specjalizację traktuję jako wroga świata nr 1. Zwierzęta specjalistki: krowa specjalistka od 12000 litrów mleka, biedne zwierzę, które nie może biegać, bo przydeptuje sobie wymiona. Człowiek produkuje wokół siebie samych specjalistów, wśród samych siebie też. Specjaliści, im dalej posunięci w swojej dziedzinie, tym bardziej wyalienowani ze społeczeństwa, z życia. Specjalista nie porozumie się ani z żadnym specjalistą w innej dziedzinie, ani z niespecjalistą. To kalectwo. Przecież w życiu nic się nie rozwija w nieskończoność, tylko do pewnego stopnia, po czym jest powrót, zaczęcie od nowa. Cykl. Można zatoczyć myślami krąg i dojść do punktu wyjścia. Ale myśl może krążyć po spirali i to już jest ruch w trzecim wymiarze. Jeżeli komuś z kręgu na jednym poziomie uda się wejść na spiralę i spojrzeć na swój krąg myślenia z trochę wyższej perspektywy, to już jest coś. To tak jak się lata na szybowcach, bo ja latałam. Można krążyć w kółeczko i poruszać się jak pijak wkoło beczki, a można o troszeczkę wyżej za każdym razem i z każdym okręgiem horyzont na spirali, który się obejmuje wzrokiem, jest szerszy.

W szybownictwie jest też taki pułap we wspinaniu się na spiralę, kiedy osiąga się wyrównanie ciśnień i temperatur i wznoszenie ustaje, trzeba zjechać na dół i zacząć od nowa. To jest właśnie taki kres „specjalizacji”.

Ale to wszystko, co powiedziałam dotyczy tych, którzy szukają, próbują i są sobą. Tymczasem dla celów komercyjnych ludzie rezygnują z własnej indywidualności. Godzą się na te wszystkie kagańce: czyste spodnie, krawat, białą koszulę, bez tego tracą szacunek dla samych siebie. Bez krawata, białej koszuli i garnituru też są ludźmi, ale nie mają poczucia własnej wartości. Ale żeby człowiek zajmujący się ochroną przyrody nie stał się synonimem dzikuski, niechlujnie ubranej, od czasu do czasu przechodzę przez wieś taka, że odwracają się wszyscy. Uczeszę się, zrobię sobie makijaż, a potem jak wracam do domu to z taką samą radością biorę w dłonie taczki, widły do gnoju i ganiam za końmi po pastwisku. Przebieram się do teatru, albo do gnoju. Ja byłam taka zawsze, tylko że dopiero dziś mam odwagę o tym mówić.

Czy na tej twojej drodze nie dopadła cię nigdy samotność?

B. S.-K.: Cały czas mnie dopada. To brzmi śmiesznie, przy mojej nieskończonej ilości znajomych ludzi czuję się samotna. To samotność „w tłumie ludzi”, co do których czujesz, że przychodzą po to, by odetchnąć od siebie, od swojego świata. Tak, jak się wychodzi do cyrku, czy do zoo popatrzeć na

dzikie, egzotyczne zwierzątka. I po to, by móc się kolejny raz przekonać, że co prawda za czymś tęsknią i trochę mi zazdroszczą, ale tak żyć jak ja, w takim błocie, by nie chcieli.

Przychodzą z nastawieniem, że chcą coś dostać, bo ja w ich oczach mam wszystkiego dużo: jabłek, pomysłów na życie, dużo humoru, czyli tego wszystkiego, czego im brakuje. Do głowy im nie przyjdzie, że ja mogę czegoś potrzebować od nich. Ale to jest samotność w zawężonym, ludzkim świecie.

Bo jak można się czuć samotnym w otoczeniu tylu zwierząt, roślin i tego wszystkiego, co tu jest dookoła. Jeszcze dobrze nie wstanę rano, jak wszystko to przychodzi do mnie i daje, prosi o coś, ale przede wszystkim daje, jak ten kot, co mi tu teraz usiadł na kolanie, żeby go, zmoczonego na deszczu ogrzać, czyż nie?

Moje imię - Barbara znaczy „obca” i już się do tego przyzwyczaiłam: Moje poglądy na tyle różnią się od poglądów „przeciętnych”, czy powszechnych, że czuję się psychicznie odosobniona. Natomiast stawiając sobie dość wysokie wymagania nie traci się czasu na przerabianie ustalonych standardów i z tego tłumu przewalających się przez moje życie tzw. znajomych pozostaje parę osób, z którymi kontakt wzbogaca autentycznie moje życie. Przecież związki, czy kontakty ludzkie, które zaistnieją po przezwycięzeniu właśnie tych utartych standardów, są dużo trwalsze i bogatsze.

Co jeszcze sądzisz o człowieku?

B. S.-K.: Człowiek, na złość swojemu Stwórcy postanowił zakończyć pewien rozdział historii planety Ziemia. Generalnie ludzie współcześnie żyjący dzielą się na dwie frakcje: konserwatystów, którzy bronią zielonego za wszelką cenę i tych, którzy konsekwentnie udowadniają tezę, że zielone jest wrogiem na ich drodze tzw. rozwoju osobniczego człowieka. Chyba jestem konserwatystką. Zawsze chciałam być w awangardzie, tymczasem wylądowałam w gronie konserwatystów. To znaczy sprzeciwiam się nadmiernemu, użytkowaniu zdobyczy techniki tam, gdzie nie są one konieczne potrzebne.

A zwierzęta?

B. S.-K.: Zwierzęta natomiast, w przeciwieństwie do człowieka, kierują się w swoim życiu tak nieubłaganą logiką, że jedną z rzeczy, których można się nauczyć od zwierzęcia jest logiczne rozumowanie. Człowiek wie, że palenie papierosów mu szkodzi, a mimo to sięga po peta i zapala. Żadne zwierzę, które weźmie do pyska coś, co mu nie smakuje lub szkodzi nie weźmie tego po raz drugi. Rozmowa ze zwierzęciem wygląda całkiem inaczej niż z drugim człowiekiem. Po naszej stronie, stronie człowieka, leży cały wysiłek, by rozmówca zwierzę - nas zrozumiało. Jednym słowem musimy zejść z pozycji „korony stworzenia” na poziom rozmówcy, a to już jest świetne doświadczenie. Możemy oczywiście stosować fizyczną presję, ale użycie jej w stosunku do małego zwierzęcia przekreśla raz na zawsze możliwość osiągnięcia porozumienia dobrowolnego. Mam natomiast zwierzęta większe i silniejsze ode mnie, z którymi „rozmowa siłą” kończy się tym, że one robią swoje, a ja mogę sobie jedynie popatrzeć. Taki układ zmusza do logicznego postępowania, wyciągania ze swoich ruchów, wypowiedzi, zachowań tylko tego, co jest potrzebne i zrozumiałe. Obcowanie ze zwierzętami sprowadza działania i myśli człowieka wyłącznie do rzeczy, które są niezbędne. Człowiek porusza się wśród miliona rzeczy, myśli, czynności, które są zbyteczne. Jeśli jest głodny i potrzebuje chleba, potrzebuje również opakowania na chleb, rachunku za chleb; noża, talerza i dodatków do chleba. Zwierzęciu jest to wszystko, oprócz umownego chleba, absolutnie obojętne. Mojego konia nie interesuje sprawozdanie do urzędu z tego ile zjadł, to samo dotyczy roślin i całej reszty przyrody.

Mówisz o zwierzętach udomowionych, one nie są wolne, są nauczone służyć człowiekowi, czyż nie?

B. S.-K.: Przepraszam bardzo, jak na razie moje doświadczenia wskazują na to, że to ja robię to,

czego one chcą: wstają o godzinie 7 rano, żeby im zanieść owsa i żeby je pogłaskać, bo one sobie tego życzą. Dopiero jak ja spełnię jego, np. konia, żądanie zaspokojenia głodu, pragnienia, pieśczoły, dopiero wtedy on łaskawie zgadza się na „kulturalne” wykonanie jakiejś pracy. Np. biegnie tolerując mnie na swoim grzbiecie. A że biegać lubi, szybko spostrzegł, że bieganie ze mną na grzbiecie poszerza jego horyzonty, umożliwia mu zwiedzanie świata, poznawanie go i przeróżnych napotykanych innych zwierząt. Natomiast użycie siły jest zabijaniem czegoś, lub kogoś. Mnóstwo „zabitych” ludzi chodzi po świecie. Zapraszam czasem takich do siebie, żeby pooddychali, policzyli chmury na niebie i nie wiem, co jeszcze, a oni mi na to, że nie mogą, bo muszą pracować, nie mają czasu. Oni zabili w sobie konieczność odpoczynku. Żadne zwierzę nie potrafi tego zrobić. Każde zwierzę po wysiłku wypoczywa, tyle ile potrzebuje. Zwierzę uczy, że wypoczynek jest tak samo ważną częścią życia jak praca, czy jakakolwiek aktywność.

Ja bardzo wysoko cenię swój tzw. wolny czas. Znacznie bardziej niż pieniądze, jakie można zarobić zamieniając czas wolny na czas pracy. I chyba ten prozaiczny czynnik zaważył na tym, że nie uprawiam mojej ziemi zbyt intensywnie. Inne czynniki, tzw. ekologiczne, pojawiają się same. Nie truję szkodników, jakimi są niewątpliwie myszy, bo to kosztuje, oprócz tego, że wiadomo - skaża ziemię. Przylecą myszołowy i bociany i one zjedzą myszy. Nie wszystkie i dobrze, bo by nie starczyło na następny rok. Nie zbieramy zboża i siana do ostatniego ździebełka po to; by myszy przeżyły zimę. Ale co ja mówię, spalą mnie we wsi za takie herezje! Chronić myszy! Wiem jednak, że ptaki, które tu mieszkają nie przeżyją bez myszy. Dlaczego mam opryskiwać ziemniaki w obronie przed stonką? Wolę, żeby były tutaj dwa gniazda bażantów, niech one się tą stonką zajmą. Nie plewię perzu, tylko go koszę i odwracam, on zgnije i w następnym roku na tym miejscu wyrasta koniczyna wysoka po kolana. Osty też mogą sobie rosnać do woli, Mają bardzo długie korzenie wyciągające składniki pokarmowe i wodę głęboko z ziemi do powierzchni. Po dwóch latach oset gnije, a ziemia nabiera struktury gruzełkowatej, staje się przewietrzana i dostępna dla nasion bardziej szlachetnych roślin. Skoszone chwasty zostawiam na polu do wiosny, by swymi kłęczami i korzeniami chroniły glebę przed spływaniem wraz z wiosennymi roztopami. Resztki ostów wabią motyle, spośród których można u mnie spotkać i pazia królowej.

Ja w tym czasie, kiedy inni jeżdżą po polach i spryskują, popatrzę na bażanty, na drzewa i chmury. Strasznie lubię siedzieć pod lipą i patrzeć. Lubię patrzeć, jak moje myszy przechodzą do sąsiada, jak za traktorem, który przewraca ziemię podążają kot i bocian i napychają brzuchy swoje i swoich dzieci wszystkim żywym, które się spod ziemi pojawia.

A czy ty się czasem czegoś boisz?

B. S.-K.: Boję się przykrości, którą sprawiają ludzie. Ludzie, którzy przychodzą i próbują zabić moje marzenia. Mówią, że „to” się na pewno nie uda. A ja wiem, że jak mi się uda, to podobnych gospodarstw będzie za parę lat więcej w okolicy i nie tylko, A jak mi się nie uda, to proces ten się odwlecze na wiele lat. Bo ja nie wiem, czy mi się uda. Nie gromadzę środków, ani zapasów, gromadzę za to zwierzęta, które muszą jeść cały rok. Żyję z dnia na dzień, mam czas na siedzenie pod lipą. Nie wiem jak długo będę żyła, ale umrę na pewno zanim skończą się moje wszystkie pomysły na życie.